



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

DWA ANIOŁY.

Dwa anioły spotkały się w locie,
Ponad ziemią, wśród błękitnych mórz:
Jeden płynął w purpurze i złocie...
Miał wejrzenie jakby rannych zórz;

Drugi w czarnych aksamitach tonał,
Łez brylantem świecił jego wzrok—
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonał
I rozjaśniał nieskończony mrok....

„Wracam z ziemi—rzekł pierwszy z aniołów—
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z popiołów
I przyspieszał nowy rozkwit ciał.

„Tam widziałem, w ciemnej nieszczęść nocy,
Dwóch sere czystych krwawy z losem bój,
Dwojga istot gorzki ból sierocy,
Ich samotny, ciężki życia znój.

„Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą....
I miłości owiałem je tchem....
A z dwóch smutków, nad dawną żalobą,
Szcześnie rajskim wykwitnęło snem!“

„Ja—rzekł drugi w gwiazdzistej koronie—
Wracam także z owych ziemskich pól,
Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie....
I nazawsze kołem ich ból.

„Tam spotkałem, pomiędzy innemi,
Jedną duszę szlachetną, bez plam—
I kochałem tego syna ziemi,
Co pięknnością dorównywał nam.

„Lecz dojrzałem, że w żywota męce
Zaczął chwiać się.... rdzy dostrzegłem ślad.
I strwożony wyciągnąłem ręce,
By, padając, nie poplamił szat.

„I miłością prowadzony czystą,
Jaknajciszej zbliżyłem się doń....
Zarzuciłem zasłonę gwiazdzistą....
I na sercu położyłem dłoń.

„W mych objęciach on teraz bezpieczny!
Bo już władzy nie ma nad nim czas—
I zostanie w swej piękności wiecznej,
Niedotknięty żadną z ziemskich skaz.“

El....y.

IGNACY KRASICKI

J. I. KRASZEWSKI

Polymaci XVIII i XIX w.

porównał Dr. H. Sk.

(Dokończenie).

Król nazywał go Minetem, i pisze w jednym z li-
stów do pani Geoffroi: „Przykro mi, że mam pewne
poszlaki“.

„Temi mniemanemi *poszlakami* były wstępy Kra-
sickiego do spraw publicznych, w których on stałe
wytrwał do końca, czując, że na innym polu sku-
teczniej czynnym być może“.

„W listach nawet do brata w ogóle o rzeczach
drażliwych rozpisywać się nie lubił“.

Mówiąc o Krasickim, jako o pisarzu, twierdzi
Kraszewski, że „jak forma i styl, tak język tu zja-
wia się nowy. Styl-to i język harmonijny, dźwię-
czny, oszlifowany starannie, pieściółko a cacko...
Po Krasickim go też nikt nie wziął w spadku; zo-
stał jego wyłączną właściwością“.

I styl Kraszewskiego i forma i język są również
harmonijne, dźwięczne, starannie, jak pieściółko,
wyglądzone — i należą do jego właściwości wyją-
cznej. Więcej powiemy:

„Po dwuchset latach pustki i milczenia“ Kra-
sicki w XVIII w. znowu utworzył tę całość i zwią-
zek serdeczny pisarza ze społeczeństwem, jakie
istniały za czasów Kochanowskiego. Tak samo
i Kraszewski związał chwilę obecną z tą epoką,
w której jaśniał Krasicki.

Po trzech setkach lat z górą lud i pisarze kilku
epok, wpływami do siebie podobni, „znowu sobie po-
dają dłonie; jedno serce w ich piersiach bije! Wiel-
kie-to zaprawdę posłannictwo zbudzić do życia,
a kto je spełnił tak godnie, temu się imię wielkie-
go należy“.

„Krasicki jest w przedstawianiu prawd raczej
malarzem niż filozofem; unika abstrakcyi, przyo-
dziewa myśl ciałem, stawia ją w zastosowaniu do
życia. Wszystko w nim z rzeczywistości wzięte,
do niej się odnosi i wiek swój maluje“.

„Może jest malarzem wyższej ceny niż morali-
stą. W jego obrazkach niema najmniejszej pendzla
niepewności, rysu zamglonego; wszystko jasne, do-
bitne, prawdziwe. Gdzie tylko opowiada i maluje,
wiernym jest historykiem swojego czasu“.

„Powolna przemiana zdała się Krasickiemu wła-
ściwą formą postępu.... Oprzeć się na tem, co by-
ło, a postępować ku nowemu i lepszemu: kierunek

jednak zawsze zmierza naprzód — i cofania się, za-
stałości, nie dopuszcza“.

„We wszystkich swych dziełach Krasicki nau-
cza umiarkowania, wstrzeźliwości; przypomina
ludzkich rzeczy zmienność, słabość rachub na-
szych i ślepotę; boleje nad namietnościami, z któ-
rych się poprawić nie możemy“.

„Wzórów dostarczył mu wiek XVIII (jak Kra-
szewskiemu XIX i przeszłe), ale i w dwudziestym
znajdą one zastosowanie“.

Jakże podobne, rzec nawet można, jednolite, by-
ły charaktery, usposobienia, dążenia i pisma obu
naszych encyklopedystów! Zobaczmy ich jeszcze
stojących obok siebie, jako polymatów, w najrozle-
glejszym słowa tego znaczeniu.

* * *

Co można powiedzieć o jednym pisarzu, toż sa-
mo i o drugim wyrzec należy. Byli to bowiem
polymaci jednorzędni, ludzie nie tylko wielostronni,
ale-by nawet wyrazić się wypadało: wszechstronni —
autorowie najroznorodniejszych, encyklopedyjných
kierunków, poczynając od Kalendarzy aż do epo-
pei. Nie masz prawie w zakresie piśmiennictwa
działu, którychby jeden lub drugi nie dotknął.

Kraszewski nawet pod tym względem obfity,
bo w zawodzie pisarskim więcej lat od Krasickiego
przeżył — i właściwie (z małym tylko wyjątkiem),
samej poświęcał się literaturze; gdy Krasicki, jako
wysoki dygnitarz, wiele jeszcze spraw publicznych
miał do odrabiania.

Prace Krasickiego są: *Allegorye, Bajki, Epigram-
mata, Epos, Powieści, Przypowieści, Kazania, Kome-
dy, Kolenda i Kalendarz obywatelski, DIALOGI, Uwagi,
Żywoty, z Plutarcha i na wzór jego; Historia
a raczej krytyka dziejowa, Poematy satyryczno-żartow-
liwe, Poezye ucinkowe, Satyry, Podróże, Listy prze-
platane wierszami, Tłumaczenia obcych poetów, Nauka
poezji, Studya nad klasykami starożytnymi, nowoży-
tnymi, wschodnimi i polskimi, Zbiór wiadomości, czyli
Encyklopedia, Heraldyka i wreszcie czasopisarstwo.*

Wszystko-to charakteryzuje polymata XVIII wie-
ku. Większym wszakże odeń polymatem jest Kra-
szewski. Przebiegniejszy zakres prac jego nieskoń-
czenie różnorodniejszy: *Archeologia, Badania histo-
ryczne, estetyczne, filozoficzne, filologiczne* (o języku pol-
skim); obrabianie cudzych pamiętników (Drzewiec-
ki, Ochocki, Plater) i wydanie dzieł zupełnych róż-
nych autorów (Brodziński, Szekspir); *Opisy miej-
scowości różnych w kraju, Podróże u nas i na obczy-
źnie, Komedy, Dramaty, Erzyślowia, Studya literac-
kie, Krytyki, Rozbiory, Pomniki, Gawędy, Poezye,
Treny* (Hymny boleści), *Sielanki* (wioska), *Anafie-
las, Kantata* (Milda z Witoland), *Traktaty popu-
larne* (w Bibliotece ludowej), *Odczyty, Kalendarze*
(ilustrowany przez samego Kraszewskiego; ścien-
ny, gospodarski i dla Dobroczynności Warszaw-
skiej); *tłumaczenia: Powieści* (Kocka), *Pamiętników*
(Lamartine'a), *Złota legenda artystów* (z angielskie-
go), *Dante i studya nad nim*; zresztą wiele bardzo
z rozmaitych kraju epok, powieści historycznych,
obyczajowych, społecznych i ludowych, oraz róż-
norodne redaktorstwo (gazet, pism poważnych
naukowych, humorystycznych i t. d.).

Wątpić należy, czyli w całej literaturze europej-
skiej znajduje się podobny pisarz, równy codo ilo-
ści i jakości wszechstronnym pracom Kraszew-
skiego.

Po nim niezawodnie u nas stać może, codo wie-
lostronności i mnóstwa dzieł, Krasicki. Nienapró-
żno więc takich polymatów postawiliśmy tutaj obok
siebie.

* * *

Czem-że bywają umysły wszechstronne? czem
się odznaczają pisarze encyklopedyczni w zakre-
sach już wskazanych? Jakich ich postawnictwo?

Są to geniusze danego wieku, okresu i kraju; nie
te geniusze wszechświatowe, co stwarzają lub bu-
rzają, jak na przykład Michał Anioł w zakresie sztuk
pięknych, lub jak nasz Kopernik w dziedzinie nauk;
ale są to geniusze opiekuńcze danej epoki, owi
archanieli Mickiewiczowscy, co „stoją na straży pa-
miątek kościoła“, co podnoszą upadające umysły,
co wlewają ducha w ciała skostniałe — słowem, od-
żywiają cały organizm danej chwili. Względnie
literatury naszej, podobnymi aniołami-stróżami by-
li: w XVI wieku Rej i Kochanowski; w chwilach

upadku piśmiennictwa Wacław Potocki z Konar-
skim; w XVIII wieku Krasicki, w pierwszej poło-
wie XIX wieku trójca poetyczna; w drugiej poło-
wie bieżącego stulecia J. I. Kraszewski, przyszło-
roczny jubilat.

Zaiste! trzej poeci, jak trzy gwiazdy najpierw-
szej konstellacji, rozjaśnili nam i pokazali pra-
wdziwy firmament natchnień, niebo trzech cnót
teologicznych i tego wszystkiego co piękne, wznio-
słe, dobre i wielkie!

Ale czyż poetom przeznaczona tylko mowa wią-
zana, mowa Bogów? Czyż nie można, *piękna, do-
bra i natchniona* najświetniejszych brylantów opira-
wać w złoto, koronne i czyste, prozy, używanej
w ciągłym życiu, codziennym, powszednim? Ry-
my i metry, wszak są *od święta*, są godowem dni
życia uczczeniem.

Otóż takimi i takiej poezji brylantami, sypa-
li i ciągle przed nami drogę myśli uściślał Krasze-
wski w swych powieściach. Takie świetne dyamen-
ty dał nam Krasicki w swych bajkach, jakich,
śmiało rzec możemy, nie posiada żadna literatura
europejska.

Dwaj też polymaci wspomniani i Mickiewicz,
najliczniej byli tłumaczeni na rozmaite języki euro-
pejskie.

* * *

Moglibyśmy jeszcze kilka dopełnień do wyczer-
panych napozór studyów Kraszewskiego o Kasic-
kim dorzucić. Na ten wszakże raz ograniczamy
się tylko dwiema wzmiankami.

W „historii na dwie księgi podzielonej“, niema
Krasicki na myśli Żałuskiego (jak błędnie sądzi
Bartoszewicz), ale raczej A. Józ. Jabłonowskiego.
Te wynajdywania odwiecznych genealogicznych
wywodów od arki Noego, z języków, których nikt
czytać nie umie, a tłumaczy — to badania księcia
A. J. Jabłonowskiego, to jego *Tablice*.

Nie widzi także wyraźnej dążności współczesnej
politycznej Kraszewski w *Myszeidzie*. Nie potrze-
bujemy o tem szeroko się rozpisywać tutaj, tylko
odsyłamy czytelników do rozprawki Dra Gru-
szczyńskiego, wydanej w Poznaniu 1863 r.

Słuszne są ubolewania Kraszewskiego nad tem,
że nie znamy wszyscy *Pana Podstolego*. Smutniej
będzie dowiedzieć się jubilatowi i czytelnikom na-
szym, że młode pokolenie wcale nie zna nawet ba-
jek Krasickiego.

Nie potępiłbyśmy wreszcie tak bezwarunkowo,
tak ostatecznie i *Wojny chocimskiej*. Ma ona, wzglę-
dnie czasu swego, pewne piękne zwroty, choć ca-
łość pozbawiona inwencji Wacława Potockiego.

Ale i o tym Potockim, byłoby jeszcze wiele do
powiedzenia. A tu tymczasem mamy tylko mówić
o Krasickim i Kraszewskim.

* * *

Do słów Pascala, że „myśl jest ludzi godnością“,
możnaby dodać: że obywatela godnością, czyli za-
szczytem, jest ową myśl ciągle zastosowywać do
pożytku krajowego. Tak czynił encyklopedysta
ośmnastowieczny Krasicki; toż samo wykonywa
nasz polymat Kraszewski.

„Siła, z jaką działali na współczesnych“, naj-
lepiej świadczy o sobie, że istniała, i dlatego „zwró-
ciła na się oczy“ tembardziej, że istniała przez ca-
łe pół wieku.

„Instynkt ogółu, *vox Dei*, nie myli się nigdy“. Nie
omylił się więc ani codo Krasickiego, ani co-
do Kraszewskiego.

NAUKA I WYCHOWANIE DZIEWCZĄT.

II.

Nauczycielka — Guwernantka.

(Dalszy ciąg).

Guwernantka ma prawo do uszanowania; należy
to przecież do jej obowiązków, aby była osobisto-

ścią uszanowanie wzbudzającą. Prócz tych głę-
bszych stron charakteru, które stanowią o wzaje-
mym szacunku ludzi dla ludzi, istnieje jeszcze pe-
wien takt w obejściu, pewna powaga układu, przed-
stawiająca zewnątrz godność naszą duchową,
wyższy pogląd na życie, i te stanowią niepo-
dzielna część powinności guwernantki, a to ztąd mia-
nowicie, że działalność wychowawczyń i nau-
czycielki łączy się węzłem nierozdzielnym z usza-
nowaniem, do jej własnej osoby przywiązaniem.
Powinna się zatem zupełnie tak samo do odpowie-
dniego wyrobienia pod tym względem poczuwać,
jak obowiązana jest posiadać należyty zasób wie-
dzy naukowej i dobrą udzielania jej metodę. Po-
wiedziałybyśmy, że to do metody owej należy, że to
w skład jej wchodzi, aby naukę wraz z dostojnością
nauczycielską dobrze przedstawiać, częścią dla niej
w umysły wdrażać umiała. Ztąd też nie wolno jej
być lekkomyślną, nierozważną w stosunkach z ludź-
mi; pospolitą, grubiańską w obejściu, a nawet po-
wiedziałybyśmy, że jej tak niewolno być zaniedbaną
w ubiorze, jak niewolno jej być excentrycznie strojną.
Ten urząd społeczny, który sprawuje, ma mundur
przepisany sobie: mundur skromności poważnej,
smaku szlachetnego, owej przystojności wyższej
której płocha wietrzniaka nie zna, nie rozumie wcale,
i niech nikt nie nazywa tego drobiazgowością, su-
rowem ściśnieniem kobiety często zupełnie mło-
dej, gdy powiem, że guwernantce należy nieraz za-
trzymać się przed tem, co innej jakoś uchodzi. No-
blesse oblige! Szlachetność jej powołania skazuje
ją na wyższą czujność, wyższą na siebie uwagę,
aby nawet posądzoną być nie mogła o płochę, niż-
sze jakieś chęci, niższe porywy. I to nie dlatego
nawet, że jest kobietą samotną, poza którą nikt nie
stoi: ojciec, matka, dom rodzinny, którego cień
opiekuńczy rozpościera się zawsze w sposób bronią-
cy od wielu przykrości, od wielu śmiałości zuchwa-
łych. Nie, powtarzam, nie dlatego nawet. W tych
właśnie czasach odnaleziono we Włoszech bardzo
stary, bo z XIII wieku pochodzący traktat o wy-
chowaniu kobiet: *Del reggimento e costumi di donna*,
którego autor, Francesco da Barberino, podaje
wierszami rozmaite, w miarę stanu osoby zmienia-
jące się, przepisy edukacyjne, z których wypada,
że córka cesarza lub króla koronowanego najsurowiej
chowana być powinna, a to dla wysokiej swej
godności, która z czasem każe jej żyć najsurowiej.
Poeta pedagog nakazuje, aby „wczesnie przywy-
kła“ trzymać oczy spuszczone, mówić cicho i nie-
wiele, płakać tak „aby nie było tego słychać“, ś-
miać się rzadko i „niepokazując zębów“. Nie
godziło jej się również poruszać „nieskładnie“ rę-
kami, bujać się kibicią i wielu jeszcze tem podo-
bnych rzeczy, które przecież nie obowiązywały już
księżniczki, margrabianki, baronówny. Córki sę-
dziów i doktorów mogły tańczyć i śpiewać, ale za-
to nie radzi uczyć je czytać i pisać, gdy dla cesa-
rzówny i królowny uważa naukę tę za rzecz konie-
czną, a na szczeblach spuszczaających się od tronu
za pożyteczną i godziwą. Tak w miarę zniżania
się ku dołowi stopni hierarchicznych, wzrasta swo-
boda, ale usuwają się w tym samym stosunku przy-
wileje natury szlachetniejszej i kobieta z ludu do-
staje od Francesco da Barberino nakaz moralności
najprostszej, moralności pojętej elementarnie. Wiek
nasz ma niewątpliwie szale inną do przeważania
gatunkowej ciężkości rzeczy, ale zasada stoi nie-
naruszona i wytwarza ustąpienie praw, ustó-
pniowanie obowiązków ludzkich. Dostojność obo-
wiązuje! — powtarzam — dostojność nie samemi
przywilejami się zaznacza, i niech nikt nie upa-
truje w tem ograniczeń, lub odgraniczeń kasto-
wych, gdy się żąda od guwernantki, choćby naj-
młodszej, pewnej surowszej życia reguły. W Ang-
lii żony i córki duchownych ulegają wymaganiom
podobnym w stopniu bardzo nawet wysokim, bo
kraj wielce religijny chce, aby wszystko, co zostaje
w związku, choćby pośredniej tylko łączności, z ka-
płaństwem, odznaczało się doskonałością wyższą,
wyższym ducha nastrojem. Osoba guwernantki
ściślej jeszcze, bo bezpośrednio, jest z godnością
nauki i powołania nauczycielskiego związana, od-
blask od nich bijący nosi na sobie i bezkarnie na-
ruszać go nie może. Nietylko od innych żąda się
uszanowania w niej tego stosunku do nauki: ona
sama uszanowanie to bardzo wysoko uczuwać po-
winna.

Wtedy będąc już w prawie swoim, nakaże ona to uszanowanie otoczeniu całemu i krzywdą dopiero podówczas dźać jej się zaczyna; jeżeli nakazowi temu zadość się nie stanie. Przecież względnie do dzieci zdarza się to w wyjątkowych chyba razach; rozumna i taktowna guwernantka prawie zawsze wpływ swój w pokoju szkolnym wywrzeć i władzę, posłuszeństwo, otrzymać potrafi; trzeba już zupełnie zepsutych, uzuchwalonych dzieci, trzeba ze strony rodziców bardzo złego przykładu, aby do tego po pewnym czasie nie przyszło. A można dodać, że rzadko która matka, jeżeli jest tylko dobrą, przywiązaną matką, rzadko którzy rodzice nie zostaną ujęci, gdy taki korzystny dla dzieci stosunek wykaże się zmianą ich na lepsze, gdy pożyteczny wpływ działalności guwernantki zaznaczy się szczęśliwie. Ale, niebiorąc rzeczy w najlepszych już wynikach, w wynikach, które w każdym razie niełatwo i nieodrazu otrzymać się dają, trzeba nam namyślić się nad tem: jaką w istocie swej głębszej jest owa władza guwernantki — władza nauczycielki i wychowawczyni, o którą tu chodzi? Granice jej i doniosłość to określać się zdaje, że wobec dzieci powinna się ona przedstawiać na równi z władzą rodzicielską i nie mieć ponad sobą żadnej instancyi wyższej, żadnego sądu kassacyjnego. Gdy tak nie jest, jest źle: skoro nauczycielka i wychowawczyni tak się słuchaną nie czuje i rokować sobie nie może, aby kiedy słuchaną tak była, niech się lepiej od obowiązków nauczycielskich zaraz usunie, bo wszelka jej praca na marne pójdzie i więcej szkody, niżeli pożytku dzieciom przyniesie. Ale jest to dopiero jeden kąt widzenia rzeczy, kąt pod którym przedstawiać się ona powinna dzieciom; druga ze stron interesowanych: guwernantka, czuć powinna i czuć musi, że władza rodzicielska równie sobie powagi na ziemi nie ma, chyba, że jest nią zbiorowa władza społeczeństwa, mogącą przeciw działać wtedy dopiero, gdy rodzice postawieni są w stanie oskarżenia, że władzy swej nadużywali, lub nie używali wcale, co jest winą niemniejszą, gdyż wtedy dziecko zostało moralnie opuszczonem. Inaczej nie rodziców z ich przyrodzonego prawa nad dzieckiem wyłączać nie może i odstąpienie go całowicie byłoby nienaturalnem, dowodzącem grzesznej obojętności, czy słabości rodzicielskiej. Guwernantka dostaje od rodziców pełnomocnictwo częstkowe i dlatego we wszelkich szczegółach rzeczy ważniejszych, we wszelkich wątpliwościach, obowiązkiem jej jest odnieść się do rodziców, ich sądu i jego wyroku, ich woli zasięgnąć. Jest to przecież rzeczą taktu i rozsądku prostego, aby rzecz nie działała się nigdy z ujmą jej godności, aby nie była jej bezsilności, jej niemocy dowodem. Guwernantka, która się do rodziców zwraca o władzy swej poparcie, sama się z tej władzy ostatecznie obiera i traci ją nieodwołalnie. W chwilach bardzo ważnych i stanowczych, w chwilach wielkiej ze strony dziecka niekarności lub bardzo obciążającej jej winy, więc w wypadkach bardzo rzadkich, może nauczycielka dziecku powiedzieć, że już ona działać nie chce, że władzę swą w rodzicielskie ręce oddaje, zwraca ją; ale to samo powinno być ogromnym władzy tej na dziecko naciskiem: karą najwyższą, jaką guwernantka wymierzyć może. Takie przecież odrzucanie, odsuwanie dziecka od siebie powtarzać się z jej strony często nie powinno, bo sprowadziłoby to wkrótce za sobą spowszednienie aktu bardzo ważnego, przez co i majestat władzy rodzicielskiej narażonym-by został: dziecko przestałoby czuć groźbę tego przerażenia, że się rodzicom tak ciężko oskarżonem przedstawi, że ich wielką swą winą zasmuci.

Choćby nawet dziecko cofnęło się w oporze stawianym, choćby wróciło do posłuszeństwa i okazało uległość, jeżeli przecież winą była rzeczywiste natury poważnej, jeżeli wogóle jakie większe wady w charakterze dziecka się ujawnią, lub skłonności ku temu ukazywać poczną, należy się guwernantce do rodziców odnieść, ale nie głośno, nie w roli skarżącej się lub oskarżającej. Poufna to być powinna rozmowa guwernantki z rodzicami, narada jej z niemi, na której ona swe poglądy przedstawić i uświęcenia ich żądać, lub instrukcyi zasięgnąć powinna. Mojem zdaniem, pewien rodzaj konferencyj pedagogicznych, niekoniecznie w takich już okolicznościach wyjątkowych, ale

przy zwykłym biegu rzeczy między rodzicami a guwernantką od czasu do czasu odbywanych, byłby bardzo pożytecznym. Guwernantka powinna posiadać wyższą znajomość pedagogii; nauka psychologii, której nie znać nie wolno jej, jest dla niej ułatwieniem w poznaniu charakteru dziecka, matka przecież zna wskroś całą jego istotę duchową, zna wskroś jego serce i należy jej pod tym względem objaśnić guwernantkę, zwierzyć jej się ze wszystkim — ze wszystkim, co o charakterze, o skłonnościach, usposobieniach dziecka trzyma. Nieraz może to być dla matki przykrą, bolesną nawet chwilą, gdy jej przyjdzie ujawnić jakąś poznaną wadę, odkryć jakąś ujemną stronę dziecka; ale powinna zdobyć się na to, podnieść się nad słabość serdeczną i uczynić pewien rodzaj spowiedzi macierzyńskiej, zawierającej nie tylko słodkie swe na przyszłość nadzieje, ale i obawy, jakie budzić się w niej mogą, jeżeli dopatrzyła zarodu złych namietności, skłonności mniej szlachetnych. Miłość macierzyńska, jak wszystkie wielkie, gorące miłości, bywa często, bardzo często, ślepą; to jest, jak wszystkie wielkie miłości ma wzrok otwarty jedynie na dobre strony drogiego sobie przedmiotu. Ale wielkie miłości mają zarówno i czujność aż niespokojną, troskliwość o ukochanie swoje aż lekką, i ztąd matki najsilniej kochające zdolne są do poznania takich wad w charakterze dziecka, jakie oko obce niełatwo i nie zaraz wysledzić może. Najwyższą otwartość matki w stosunkach z osobami, które współpracują z nią w wychowaniu dziecka, jest najwyższej miłości dowodem, jest miłości tej ofiarą i zwycięstwem odniesionem nad uczuciem, które nazwałabym raczej macierzyńską miłością własną, niżeli zaślepieniem z przywiązania do dziecka pochodzącem. Bywają matki, u których miłość dzieci jest jakgdyby egoizmem przedłużonym w trwaniu swoim, przeniesionym sukcesyjnie na dziecko, które jest dla takich matek niby dalszym ciągiem ich własnej istoty. Liczy się to do spostrzeżeń swoich nad życiem, że matki zdające się najnamietniej zaślepieni, unoszące się gniewem na przypuszczenie najmniejszego braku w swych dzieciach, w imię tych dzieci nieznoszące żadnej wyższości w ich rówieśnikach, w imię tych dzieci zazdrośne i niesprawiedliwe, każda ich winę na karb innych zwałujące, — są to kobiety z silnem uczuciem samolubstwa w piersi, z silnym egoizmem, który w przywiązanie macierzyńskie przeszczepił tylko.

Ale matka kochająca w prawdzie i czystości rzeczywistego miłości uczucia, zdolna jest do tej sprawiedliwości szlachetnej, która tak w dziecku swoim zło poznać i uznać jest w możności, jak ludzie nie osłepieni pysznem uwielbieniem samych siebie są w możności poznać i uznać zło w sobie. Bolesć matki w takiej chwili, jej żal i smutek, podobniemi też być mogą do bolesci, żalu i smutku człowieka, który w sobie jakąś niżkość, nędzę moralną odkrywa i przez miłość, częściej dla cnoty, przez pojęcie wyższego ludzkości ideału, cierpi nad tem. Ale wszelka zacniejsza natura musi wraz z tem cierpieniem uczuwać i pragnienie podniesienia się ze słabości, z upadku swego — musi uczuwać tęsknotę za utraconem w sobie dobrem, chęć odzyskania go, zyskania nanowo, i takim zupełnie powinno być uczucie matki wobec zła, odkrytego w dziecku. Odzyskać dla niego dobro — oto jej cel; nie cofać się dla dopięcia go przed żadną ofiarą — to jej powinność najwyższa. Męstwo szlachetne, które w podobnych razach rozwinać jej trzeba, hart ducha, który się nie ulęknie zadać choćby bólu srogiego tak sobie, jak istocie ukochanej, co rzeczywiście jedno znaczy — zaliczyć trzeba do największych zasług matki dobrej. Łatwo jest, bo słodko i miło, kochać dziecko dobre, tak jak wogóle słodka jest i przyjemna miłość wszelka, gdy celem jej uczucia jest przedmiot odziany pięknoscią natury szlachetnej, ale miłość wszelka wtedy dopiero staje się wzniosłą i heroiczną, gdy dla ukochania swego cierpieć musi; gdy w bolesnym jakimś zatargu tego ukochania z dobrem, w bolesnem tego ukochania popadnięciu w zło, potrafi je z tej mocy nieczystej wyrwać, z upadku znów ku górze podnieść, na piękność, świętość dobrego wynieść. To jest dowód hartowności ducha, to jest dowód wysokiej i głębokiej miłości — dowód miłości niesamolubnej, jaką właśnie być powinna miłość ma-

cierzyńska i jaką też jest niewątpliwie w piersi szlachetnej. Widziałam matki, które wpadały w gniew, w nienawiść dla guwernantki, gdy ta ujawniła jakąś wadę charakteru dziecka, zwróciła uwagę na jakiś jego brak moralny, dowiodła przewinienia cięższego. Źródłem tego niesprawiedliwego gniewu, niesprawiedliwej nienawiści był niezawodnie żal, że ich dziecko nie jest taką doskonałością bez skazy, jak to wyobrażały sobie w miłości jednostronnie patrzącej; ale ów żal łączył się przecież zawsze z uczuciem ujemnem, że ze złudzenia swego wyprowadzone, nie mogą teraz z miłości swojej dla dziecka samych miłych wrażeń otrzymywać, nie mogą z kielicha miłości macierzyńskiej pić słodczy samej; że trzeba im dać na ofiarę obowiązku macierzyńskiego coś mozołu i cierpienia. To też śmiało powiem, że tu egoizm głównie wpływa na zacięcie się w upornem zaślepieniu; przywiązanie prawdziwe, czyste przywiązanie do dziecka, zatrwożyłoby się i przedewszystkiem przekonać o prawdzie zapragnęło. Miłość własna, samolubstwem przesiąkła, odpycha prawdę, znać jej nie chce, aby się nie zdobywać na poświęcenia, które za tem iść-by musiały.

Jest to głębokiem mojem przekonaniem, że matki pieszczące dzieci nad miarę, matki otaczające dzieci uwielbieniem bezwzględnem, tak zwane *matki słabe*, są istotami egoistycznymi, które chcą być przez miłość swą wciąż uszczęśliwiane. Kapitał uczuć swoich wypożyczają one niejako na procent szczęścia i niezdolne są kochać bezinteresownie, ofiarnie. Czasem wprawdzie słabość macierzyńska płynie z małości, z lichoci natury samej matki: nie sięga ona dla dzieci swoich po górny ideał cnoty, tak jak nie sięgała po niego dla siebie. Rusza więc ramionami na tych, którzy ją z błogiego bytowania na padole chcą wyrwać, ukazując inny życia pierwowzór; lecz zapala się i gniewem unosi, gdy to najmniejszym choćby naciskiem się staje i w tem-to uczuciu szukać trzeba nieraz nienawiści okazywanej guwernantce, skoro ta chce poprawiać dzieci z wad, których matka za wady nie uważa, sama im podlegając. Etyczne pojęcia rodziców odzwierciedlają się zawsze w moralnej skali wychowywania dzieci. Czasem wychowywanie, jako takie, wcale nie istnieje: idzie się jakoś przed siebie, za innymi, bez żadnej myśli pedagogicznej; prowadzi się rzecz, jak się zdarzy, z dnia na dzień, według tego, co ów dzień przyniesie, i wtedy: albo egoizm rodziców jest tak wysoki, tak na swoje własne *ja* skupiony, że nawet na to naturalne i przyrodzone im, instynktowne uczucie, na miłość dzieci, zdobyć się nie może; albo rodzice sami należą do tych istot lekkomyślnych, dla których żadna zasada życia nie istnieje. Mówią sobie: *jakoś to będzie!* i płyną z falą wypadków, z nurtem okoliczności jak liść z wiatrem, jak sucha gałąź z wodą rzeki.

(Dokończenie nastąpi).

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

(Dalszy ciąg).

Piękna Julcia rozweseliła się całkowicie, zaczęła śpiewać jak dawniej i śmiać się na całe gardło. Ojciec i matka uszczęśliwieni z tej odmiany humoru, mówili do siebie:

— Co za szczęśliwa natura tej dziewczyny! jak ona sobie umie wszystko wyperswadować!...

— Bo romansów nie czyta jak ty! — twierdził pan Kopec.

— Bo jeszcze nie natrafiła na *swego*, dowodziła pani Kopciowa; niejedną-m już „historię“ przeczytała w życiu — i wiem, że co komu sądzono — to go nie minie!...

— Dobrze, dobrze, — mówił niecierpliwie p. Kopec, — tobie sądzono być całe życie głupią!...

Panna Kopciówna zachowywała największy sekret przed rodzicami ze swoich *rendez-vous* z Kasztelanem, albowiem wymagał tego dostojny kochanek pod *uroczystą* przysięgą miłości. A miłość ta wzrastała tak impetycznie w sercu panny Kopciówny, że po kilku dniach już nietylko nie wzbraniała się od pocałunków świetnego lejtnanta, ale zarzucała mu sama ręce na szyję i całowała tak smaczno, jakby gryzła orzechy.

Nareszcie przyszedł moment poufnych zwierzeń, i naiwna Julia wyznała szczerze, że była wielce zakochaną w pewnym malarzu z „Włoskiej krainy”; jak ów malarz był hojny, niby wielki pan; jak sypał złotem, jakie jej kosztowne porobił prezenta i t. p.

Pan Meleszko słuchał z wielkiem nateżeniem tego opowiadania i kazał sobie po kilkakroć opisać postać i twarz owego malarza; nareszcie, gdy panna Julia opowiedziała detalicznie jak jednego dnia przyjechała do nich kasztelanka Marya wraz z panem Zarembą; jak rozmawiali z sobą po *cudzoziemsku*; jak potem poszli oboje do altany i on miał robić malaturę kasztelanki, ale nie robił, bo we dwa dni po owem widzeniu wyjechał nagle — i niewiadomo gdzie...

— Ani wątpić, to *on*!!—zawołał, widocznie pobladłszy, Kasztelan; co spostrzegłszy, panna Julia rzekła pieszczotliwie:

— O! niech pan nie będzie zazdrośny o tego malarza, bo mogą przysiądź na wszystkie świętości, że mię nawet ani razu nie pocałował!

Pan January roześmiał się szyderczo i odparł tonem mało zrozumiałym dla Julii:

— O moja droga, bądź oto spokojną, ja wcale nie jestem zazdrośny—ufam ci najzupełniej...

Co słysząc, panna Kopciówna zasypała pocałunkami dorywczego kochanka, poprzysiegając, że mu będzie wierna do śmierci.

Tego dnia krótkie było *rendez-vous*; Kasztelan pośpieszył do pałacu i wprost udał się na pokoje siostry.

Baronowa z panną Karą wyjechały na spacer; Kasztelan dyktował jakieś pilne listy swemu sekretarzowi; Marya zaś była samotną w swoich apartamentach, zajęta niby haftowaniem stuły jedwabiami i złotem, jak to czyniły wówczas wszystkie wielkie panie,—wszelakże igła spoczywała martwo w robocie, a ręce bezwładnie trzymały stułę na kolanach.

Po jej bladym czole przesuwaly się myśli, jak ciemne chmurki po niebie, a w oczach, tych pięknych, czarnych oczach, lśniły dwie łzy bezwiedne prawie.... Marya marzyła o tym, który był duszą jej duszy! Niepokój, trwoga, nadzieja—wszystko to razem miotalo jej sercem.... a tu przed nikim powiedzieć, przed nikim się użalić, przed nikim imienia jego wspomnieć nie wolno! A serce niewieście, w smutku, czy w radości, tak potrzebuje wylania!

Jeden tylko stary rotmistrz był jej powiernikiem, ale starzy mało rozumieją młodych. Owoż, gdy pan Kasztelan wszedł do pokoju siostry i z trzaskiem zamknął drzwi za sobą, ona zadrżała, i głośno „ach“ z ust wypadło; lecz po chwili, udając spokój—rzekła łagodnie:

— A—to ty, bracie?... dlaczegoś tak głośno drzwi zamykasz za sobą?

— Nie jestem przecie ani tajemniczy kochanek, ani „banita“—odrzekł, rzucając się w fotel pan lejtnant—nie ukradkiem przychodzę do ciebie, więc mogę drzwi zamknąć jak mi się podoba!

Marya śmiertelnie pobladła; domysliła się z tej mowy, że brat musiał wyśledzić bytność Gerarda w Borówce; jednak, zapanowawszy nad sobą o ile mogła, rzekła:

— Do czegoż to zmierza podobna przemowa?

— Zmierza do tego—zawołał z gwałtownością p. January—a gwałtowność, jak wiemy, była cechą natury Meleszków,—że ja, starszy brat, i że tak powiem, głowa rodziny, mam prawo, wyrzucić siostrze jej płocze postępowanie!—Jak to?—mówił—zapalając się coraz bardziej, córka kasztelana Meleszki do tego stopnia zapomniła, co winna sobie i swemu rodowi, iż sama poszła do kochanka „banity“, by się rzucić w jego objęcia!... to rozczulające!...

A mówiąc tak, Kasztelan śmiał się jak potępieniec.

Marya powstała, i z godnością kobiety, którą

obrażono w jej najświętszych uczuciach, rzekła pomalutka a zimno:

— Bracie, proszę cię, wyjdź stąd; my się wcale nie rozumiemy, i dlatego wszelki spór między nami będzie nieużytecznym.

— Ho, ho, ho, każesz mi wyjść od siebie, a gacha to—byś wpuściła.... masz mię za głupca, to wiem oddawna—a siebie uważasz za Minerwę.... Ale poczekaj, siostruniu kochana: nie takim ja głupi jak się tobie wydaje. „*Rira mieux, qui rira le dernier*“. Idę natychmiast do ojca i do ciotki; opowiem im całą twoją sielankową miłość dla „banity“: a wówczas, zobaczymy które z nas głośniejsze się zaśmieje?!

— Więc brakło ci jeszcze przymiotu „denuncyanta“!—odparła ze wzgardą Marya.—Idź bracie, idź natychmiast—najpierw, mnie zadenuncyuj przed rodziną—a następnie kniazia Sołłohuba przed.... władzą....

Pan January pozieleniał ze złości, piana wystąpiła mu na usta, i wrzasnął jak szalony:

— A czy ty wiesz, ty!... ty dumna istoto, że jeśli zechcę, to głowa twego kochanka dziś jeszcze spocznie na pniu katowskim?—rozumiesz?

— Jeśli ją znajdziesz?—być może!—lecz nie sądz bracie, że tem mię zastraszysz; wiedz bowiem o tem, że ja i godziny nie przeżyję jego śmierci—i to śmierci haniebnej!... Więc dalej do czynu.... nie trać czasu, szukaj czempredzej, to będzie godne rycerza—godne Meleszki!

Na te słowa, pełne ironii, równej boleści zranionego serca kobiety, Kasztelan, któremu krwią zaszły białka, porwał z kominka etruski wazon i chciał nim cisnąć w twarz siostry; lecz, opamiętał się, dzięki niebu, i rzucił go z wściekłością o ziemię; z trzaskiem rozbijające się kawałki porcelany oprzytomniły go nieco: padł w pół omłdły na fotel i wybełkotał te słowa:

— Przekleństwo naszemu rodowi!

Marya, zapanowawszy także nad sobą—zbliżyła się doń, i kładąc łagodnie rękę na jego ramieniu, rzekła:

— January!—zaklinam cię na Boga—nie bądź tak gwałtownym!... patrz, jedna chwila może cię pozbawić życia—blizkim jesteś apoplexy.

Pan lejtnant był prawie nieprzytomny, co widząc Marya, podała mu szklankę wody z kwiatem pomarańczowym: wypił posłusznie, nie już nie mówiąc; patrzył tylko długo—długo w twarz siostry, na której był wyraz anielskiej dobroci i litości,—i zdało się, że nie wierzył sam sobie, iż takie istoty jak ona, istnieją na ziemi. Jaka w tej chwili odbyła się w nim walka, to Bogu tylko wiadomo.... lecz jawne łzy, łzy męskie, zaszklśniły mu w oczach.

Ha! dobra rasa ma swoje dobre momenta....

— Marylko moja—rzekł łagodnym tonem, ujmując siostrę za rękę,—ty musisz mi o tyle nienawidzieć, o ile jego kochasz....—powiedz, powiedz prawdę w tej chwili,—jam wszystkiego wysłuchać gotów; jutro może już będzie zapóźno, bo wiesz, że Meleszko niezawsze ma *rozczone serce*.... ale zawsze słowa dotrzyma, jeśli co przyrzeknie; żądaj więc odemnie czego zechcesz, a przysięgam ci, na imię Boga, i na mój honor, że spełnię wszystko, i dotrzymam danego słowa.

Tyle było prawdy, a zarazem serdeczności, w głosie i w twarzy Kasztelanic, że Marya, zalana całą łzami wdzięczności, rzuciła się na piersi brata, a ściskając go z rozczuleniem braterskim, wyszeptowała wśród łkań:

— Tyś dobry! tyś szlachetny, January; jam cię dotąd właściwie ocenić nie umiała.... Bogu niech będą dzięki za tę dobrą chwilę.

Pan January, całował siostrę po rękach, ale nie mógł mówić; spazm łzawy ugrzązał mu w gardle i prawie tamował mu oddech.

— January, przebac mi—mówiła Marya błagalnie—jam cię dotknęła zbyt ostreimi słowy, ale wierzaj mi, że bardziej usta moje zgrzeszyły niż serce.... ono nigdy nie przypuszczało, abyś zdolnym był do haniebnego czynu.

— Maryo! droga siostro—rzekł przydechowym głosem kasztelan, —powiedz w czem ci mogę być użytecznym? i co każesz, bym uczynił dla.... dla *niego*? bo jeśli go tak bardzo kocha istota tak anielska jak ty.... to zapewne *on* musi być wart tej miłości.

— Dzięki ci, bracie, za wiarę w moją miłość,—i dzięki, za uznanie Gerarda godnym tej miłości....

lecz o nie cię teraz nie proszę — i nie zobowiązuję cię słowem,—może później, może przyjdzie chwila, w której się odwołam do twego szlachetnego serca. Dziś o jedno śmiem ciebie prosić, abyś....

— Mów, mów najdroższa!—zawołał p. January.

— Oto, abyś wpływem swoim, na ojcu i na ciotce wymógł, aby mnie nie zmuszali do wyjścia za mąż, za p. Borejszę; bo chociaż to nigdy nastąpić nie może, i prędzej wstąpię do klasztoru, niż zostanę jego żoną.... wszelakoż nie chcę swarów i kwasów domowych, które są tak niemiłe w rodzinie.

— Dobrze — odparł z westchnieniem kasztelan —choć wiem, ile będę miał trudności do pokonania, gdyż milionowa fortuna p. Borejszy jest niejako deską zbawienia dla smutnych interesów ojca....

— Lecz ciotka, p. Baronowa—zauważyła Marya—ona tak bogata: czyż nie może przyjść w pomoc bratu?

— Ha, ha, ha — roześmiał się szyderczo p. kasztelan, —ciotka jest tak skąpa jak szpetna, i dziwnym tylko faworem dla mnie, udziela od czasu do czasu pieniędzy,—i to, jeśli się zgram w karty, jest zawsze najhojniejszą; idzie jej bowiem głównie o to, by jej synowiec przed kolegami nie okrył się śmieszością. O! ja znam jej *wspaniałość*.

Marya zamilkła i ze smutkiem spuściła głowę na piersi; ciężko jej było na sercu.

Pan January także umilkł jakby rozważał w sobie: czy może zadać siostrze to pytanie, które już kilka razy wybiegało mu na usta; lecz go nie wygłosił przez rodową delikatną dyskrecję. Nareszcie, kręcąc swoje blond wąsy odezwał się bardzo łagodnym głosem:

— Czy ty mi ufasz, Marylko — jak bratu, co cię kocha i szanuje?

— Dlaczegoż mnie o to pytasz?—odrzekła Marya, patrząc badawczo na brata.

— W oczach twoich widzę, żeś odgadła o co chcę cię zapytać a nie śmiem.... by nie obudzić w tobie złego podejrzenia.

I rzeczywiście, instynktem serca niewieściego odgadła, że brat chce wiedzieć: gdzie się obecnie znajduje Sołłohub? Oszczędziła mu więc pytania, tylko pobladła wyraźnie; przycisnęła rękę do serca, i jak ten, co stawia na kartę własne życie, szepnęła z cicha: „Gerard jest teraz u ojca“.

Był to szczyt delikatności bohaterskiej.

Snadź to zrozumiał brat kasztelanki, bo, przyciskając prawie namiętnie rękę jej do ust, zawołał z nieklamany entuzjazmem:

— Czysta, anielska moja siostro, chlubię się, że mam bratem twoim!—Odtąd mną rozporządzaj, skoro mi tak wielce ufasz!—jam ci wdzięczny, wdzięczny nazawsze, boś we mnie uznała człowieka godnego siebie.... I przysięgam ci na mój honor, że ta chwila sprawia mi więcej radości, niż dziedzictwo p. baronowej, którego mam być spadkobiercą po jej śmierci.

O! niech żyje ona, niech żyje jak najdłużej.—I z temi słowy, śmiejąc się hektycznie, opuścił pokój siostry.

Po jego wyjściu Marya, wzruszona tylu rozmaitemi wrażeniami, padła na kolana przed obrazem Najświętszej Panny, i w modlitwie bez słów, w modlitwie łez rzewnych, szukała ukojenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Z *ciasnej sfery*, powieść podług podań i papierów familijnych, napisała Malwina Meyersonowa (przedruk z *Izraelity*). Warszawa, cziönkami M. Ziönkiewiczza i W. Noakowskiego. 1878, str. 214, 8-o min.

Tytuł niniejszej powieści to hasło wszelkiego rozwoju i postępu. Czy-to idzie o jednostkę, która przemknąć się ma tylko przez ziemię i zniknąć, czy o wielkie gromady ludzkie, które życie swoje mierzą wiekami,—wszędzie, w trudzie każdym, w walce każdej, na sztandarze każdym, spotykamy to hasło: *Z ciasnej sfery*! Chęć rozszerzenia sfery, w której się żyje, jest istotną matką postępu i do-

póki ona duchem nie owładnie, dopóty duch rozwoju rzeczywistego nie zazna: może tylko przyjmować pewne nawyki, oswajając się z pewnymi kształtami życia, ale prawdziwie, t. j. od wewnątrz rozwijać się nie zdoła. Nie inaczej rozwija się, nie inne przewroty, przełomy, rozpędy i zastoje ma naród, aniżeli jego atom, jednostka. I ogrom i pył drobny pod jednym rozwijają się prawem: zarówno potrzebują rozsuwać szranki dotychczasowego bytu, piąć się coraz wyżej, ciągle się wzbogacać, potężnieć, z krępujących więzów do swobody, z ciemności do światła się przedzierać. Takie jest typowe prawo wspólne jednostkom i ogromom. Postęp świata to zamienianie ustawiczne sfery ciasnej na obszerniejszą; każdy nowy akt postępu darzy gromadnego ducha ludzkości większą niż przedtem swobodą. Nawet pod czysto-osobnikowym względem dzieje umysłu i serca naszego uczą nas, że wtedy tylko postępowaaliśmy dobrze, gdyśmy, ciasnotę dawnego bytu uczuwszy, wydobyć się z niej, jak rumak zapadający w bagnisko, usiłovali. Na tem prawie ducha, żeby iść coraz dalej i wyżej, a w sobie samym żadnej ontologicznej, że tak powiemy, ciasnoty nie znosić — gruntuje się cała przewaga rozumnej, prawowitej władzy wykonawczej w człowieku, jego woli, nad uczuciami i namiętnościami. Ta tylko prawda przyjęta, to tylko uczucie doznane w życiu dobrem było, które ducha naszego nie skrepowało, nie ścignęło na dół, ale przeciwnie, otwarło mu na oścież wrota czynu i światła, nadało mu byt pełniejszy, szerszą podstawę, większą swobodę rozwoju — uczyniło go potężniejszym, społecznie silniej żyjącym — społecznie mówimy, rzeczywistą bowiem wartością naszą jest wartość społeczna. Co przyjdzie Bogu samemu ze skarbów, które człowiek, jak skąpiec dukaty w kufrie, w głębi własnego ducha ukrywa?

Oh! niełatwo jest z ciasnej się sfery wydostać, gdy się raz w niej znalazło! Są jednostki, są rozmaite porządki w ludzkości, są całe społeczeństwa przez długie lata w ciasnych sferach żyjące i na wiekowanie w nich nieledwie skazane. Istnieją na ziemi społeczeństwa tak nieszczęśliwe, że każda w nich wyższa jednostka przez samo odczucie wyższych dążeń swoich skazuje się na życie w sferze mniej lub bardziej zacieśnionej i ta ciasnota jest, w stosunku do odczuwanej wyższości, jakby nieodłącznym jej cieniem. Najpospoliej jednak ciasne sfery w życiu są tylko ciasnymi sferami w umysłach: rozszerzmy umysły, a zniknie skrepowanie w życiu; powszechniejsza oświata, wyższa, rozumniejsza wiedza rozsuwają tu szranki i nowy życiu nadają rozpęd. Historia tysiącznych na to dostarcza przykładów. Nieśmiertelną zasługą wolnomyślicieli zachodnich XVIII w. jest właśnie to, że rozszerzyli oni sferę pojęć, że wyzwolili umysłowość zpod przemocy zabobonów, przesądów i uprzedzeń, zpod władzy, nawet dobrych, ale nadzbyt człowieka pochłaniających, dążeń. Wyzwolić, pobudzić, w ruch wprawić umysły, wskazać im punkt jasny, leżący poza ścianami ciemnego lochu, w którym się przez odziedziczone nawyki lubują: jest to zjednać je dla postępu, dla życia samego. Wszystko mieć można, dopóki się ma światło — bez światła dopiero śmierć.

W społeczeństwie naszym najciaśniejszą sferą jest ta, w której istnieją, poruszają się, bo nie można powiedzieć, aby żyły, masy ludu wyznania Mojżeszowego. Nie od dziś już troska o zlanie ich z całością zajmuje umysły; dźwigali ją niegdyś statysci, dźwigają dziś szlachetniejsi obywatele. Obmyśliwano rozmaite środki prawodawcze w zakresie ekonomiczno-społecznym; ale gdyby się nawet te środki wszystkie urzeczywistnić były mogły i urzeczywistniły, — miałyby tylko znaczenie mechanicznego działania, tam, gdzie potrzebne jest działanie organiczne, jakim jedynie tylko oświata być może. Oświata sama jedna tylko wyprowadzić zdoła tłumy ciemne z egipskiej ziemi niewoli, którą jest dla nich ślepa, bezmyślna, prawom życia dzisiejszej ludzkości, prawom życia danego społeczeństwa wręcz przeciwstawiająca się tradycja. Oświata — to nowy Mojżesz dla Żydów w XIX wieku; to Messyas przez nich oczekiwany. Oświata rozstrzygnie wiele sporów, zaradzi wielu nędzom, urządzi wiele stosunków. Oświata zburzy warownie przesądu i rzuci w du-

że anielskie ziarno obywatelstwa. Od oświaty życie społeczne Izraelitów rozpocząć się musi.

Ale jest oświata i oświata. Nazywają oświatą naukę czytania i pisanie, i do tego zwykle sprowadzają oświatę ludową, jakgdyby klucz do jasnej komory, był już jasnością samą! Nie od takiej też oświaty spodziewamy się zniesienia złego, anormalnego stosunku między ciemnymi massami izraelskimi a ogółem, który je za nieodłączną część swoją ma prawo i obowiązek uważać. Rzeczywistą oświatą może być tylko oderwanie umysłów od przesądów i fanatyzmu; zaszczepienie w nich przeświadczenia, że magnetyczny biegun ich obowiązków, dążeń i trudów, nie leży gdzieś za mgłą wieków, za émą niezrozumiałych lub nierozumnych zasad, ale w teraźniejszości, w społeczeństwie, wśród którego żyją, w ludzkości współczesnej, z którą barbarzyńcom tylko wolno nie utrzymywać nierozzerwalnego duchowego związku. Taką oświatę rozszerzyć — trud to ogromny, wszakże nie nad ludzkie siły, i kto wie: czy pokolenie, które po nas przyjdzie, owoców jego zbierać już nie będzie? — potrzebują tylko Izraelici wespół siebie wolnomyśliciele, jakimi dla Niemców byli np. Lessing lub Mendelssohn; nie zaszkodziłby im też i nowy Voltaire. Cała sprawa oświecenia żydów jest przede wszystkim sprawą wolnomyślicielstwa, wobec martwej litery, nie ksiąg świętych, które do religii należą, ale Talmudu, bez którego religia doskonała obyć się może.

Rzeczywistą oświatę na masy izraelskie tylko wolnomyśliciele zlać zdołają: otych więc starać się należy; oni-to przez nauki i wpływ na rabinów, ciemnotę mass izraelskich rozproszyc mogą. Ci apostołowie prawdy powinni mieć w sobie coś więcej niż literackie zdolności: powinni mieć bohaterstwo, odwagę słowa i czynu; powinni z pochodzenia i wiary należeć do tej samej społecznej warstwy, jak i lud, który chcą oświecić. Światło dla Izraelitów musi wyjść z ich własnego łona — i wszelkie obce wpływy bezskutecznymi będą. Zadaniem oświaty i cnoty ogólnospołecznej jest jedynie wydobywanie i przygotowywanie takich właśnie jednostek do apostołowania prawdy uzdolnionych. Mianowicie czasopiśmiennictwo niema, zdaniem naszym, innego zadania w zakresie kwestyi żydowskiej nad takie wywoływanie początkowania w Izraelitach oświeconych, a ludźmi dobrej woli będących: w tych co-to postępują ręka w rękę ze społeczeństwem i są uczestnikami jego trosk, trudów i boleści.

Jednym z takich nielicznych jeszcze, bardzo nielicznych, apostołów światła jest p. Malwina Meyersonowa, która przed 10-ciu jeszcze laty dała się poznać jako umysł postępowy, najlepszymi ożywionymi chęciami, w powiastce „David, obraz z życia żydów współczesnych“, umieszczonej w „Izraelicie“. To samo pismo wydrukowało i najnowszy utwór p. M. *Z ciasnej sfery*; przedruk z „Izraelity“ mamy właśnie przed sobą. — Z podwójną ciekawością bierzemy do ręki każdą książkę polską napisaną przez współobywatela wyznania mojżeszowego, taką zwłaszcza, która treścią swoją dotyka ustosunkowania się Izraelitów do reszty narodu; z przyjemnością ją składamy, jeśli w niej tak zacną dążność, tak zdrowe zasady i szlachetne, szeroko sięgające uczucia, znajdziemy, jak w nowym utworze pani Meyersonowej. Forma powieściowa daje mniej materiału dla rozumu niż dla wyobraźni; ale ta forma, dziś tak wszechwładna, właśnie odpowiedniejszą się od innych wydaje do owego apostołstwa, które w programie życia społecznego, jeśli życie ma mieć jaki programat, pierwszorzędne miejsce zajmować musi.

W *Meirze Ezofowiczu* (¹) pani Orzeszkowa dała nam mistrzowski obraz tej Ciasnej Sfery, którą pani Meyersonowa tylko zaznacza, ciężar kompozycji na punkta poza sferą leżące przenosząc. W nowej powieści nie widzimy ciemnej gminy izraelskiej, nie dostrzegamy całej organizacji fanatyzmu; występują przed nas tylko jednostki z charakterami dobrane odpowiednio do założenia: że najpiękniejsze dążenia, najzacieśnione chęci przepadać muszą skutkiem ciasnoty samej sfery, w której się objawiają, i że to, co ma wytrwać i rozwinąć się, sferę tę konieczne porzucić musi.

Taka jest przewodnia myśl utworu. Nie zamie-

rzamy tu opowiadać jego treści, rozbiierać jego charakterów ludzkich; poprzestajemy na zdaniu ogółowem, i to do wyrażenia sądu naszego wystarczyć nam musi: będziemy się starali najgłówniej-sze uwzględnić w niem punkta. Przystępując najpierw do scharakteryzowania treści, musimy ją uznać za ułożoną bardzo rozumnie, z tą przestrożnością poglądu na rzeczy, która w sobie zarazem i dowód zacnych uczuć przynosi. W kompozycji też, w działach poza Ciasną Sferą rozciągających się, tkwi główna zaleta utworu. Stosunek gwira Lejba do umierającego p. Wł. Borzęckiego; zestawienie Akiwy, pragnącego tylko odrodzić mozaik i z pragnieniem tem przepadającego marnie, z takim Eliaszem, który, dalej idąc, we krwi bierze chrzest prawdziwy na członka narodu i ludzkości; samo wybranie, czy też spożytkowanie, wydarzeń i tła dziejowego w epoce pomiędzy r. 1790 — 1813: wszystko to do bardzo szczęśliwych pomysłów należy. Głębokiego znaczenia jest podróż Eliasza do Warszawy i bezpośrednio potem obrany zawód w życiu. Wprowadzenie obłężenia Gdańska jako wypadku nawiązującego i rozwiązującego wszystkie nici powieści, na tem większe zasługuje uznanie, że widocznie dokonane zostało ze znajomością rzeczy, na podstawie *Pamiętników Rappa*, lub też innego równoważnego źródła, i pod względem historycznej prawdy niczego do życzenia nie pozostawia.

Zpomiedzy charakterów powieści dwa uważamy za godne uwypatnienia: Lejba i jego zięcia Eliasza; ten ostatni wyrazistszy od pierwszego. Już nie jako charakter, ale jako obrazy poetyczne przesuwają nam się przed oczyma: wąta, blada, łagodna Belunia, ofiara fanatyzmu i nedorzeczych ślubów ojca, a na dalszym planie *reb* Gabryel i ów Rabin-kaznodzieja, cnotliwy i światły. Wogóle jednakże w powieści dostrzegamy, i stwierdzić tu musimy, brak poetycznego polotu. Akiwa ma niektóre rysy zbyt czyste, niektóre brakujące; autorka nie umiała nas postacią tą zainteresować. Sperańza również nie zdoła otrzymać od nas należytego uznania za swą szlachetność. Dar charakteryzowania ludzi w sztuce ma w sobie coś graniczącego z potęgą stworzenia, i dlatego jest tak rzadkim.

Wyższy talent opisowy, a ten jest najważniejszym dla powieściopisarstwa, byłby stworzył przejmujący grozą, podbijający wyobraźnię, obraz obłężenia Gdańska; byłby nawet skorzystał więcej z *Pamiętników Rappa*, aby opowiedzieć czyny bohaterstwa tej garstki rodaków, która tam wspólnie z Francuzami, Bawarami, Neapolitańczykami, całoroczne oblężenie znosiła; ale nie możemy brać tego za złe autorce, że nie poczuła się na siłach do podjęcia takiemu właśnie zadaniu. Wogóle, powtarzamy, w powieści *Z ciasnej sfery* najpiękniejszą jest kompozycja, mianowicie zakończenie. Tu nawet, w o-wym starym kościele, który służył i za obozowisko i za szpital, talent p. M., jakgdyby skrzydłem dostał, stworzył rzecz pod względem już czysto-artystycznym wyrazistą: postawił nam przed oczy scenę, o której niełatwo zapomnieć. Ta scena opisana też jest stylem wyższym niż inne.

Najrozumniejsze, najzacieśnione zasady przewodniczyły autorce przy pisaniu utworu. Z zadowoleniem rzetelnym czytaliśmy ustępy, w których p. M. zastanawia się nad położeniem współwyznawców swoich. Prawdziwie na powtórzenie zasługują słowa Eliasza do starego gwira, poznającego wreszcie po tylu przeżytych nieszczęściach błąd fanatyzmu, dla którego los błogi własnego dziecka był poświęcił. Skruszony starzec, z myślą o córce, woła do zięcia: — „Tak, tam ja was rozłączył!“ — „Nie wy sami tylko — odpowiada mu Eliasz — Rozłączyło nas całe nasze otoczenie, ten świat małostek, form czczych i bezdusznych, na budowę którego złożyły się wieki całe przymusowego odosobnienia od reszty ziomków, usunięcia od wielkich spraw współobywateli i kraju — to ograniczone koło potrzeb i interesów konfesyjnych i kastowych, w których burzliwa moja natura zmieścić się nie mogła. U mnie (tak) krew gorąco grała w piersi, młode skrzydła wyrwały się do lotu; jam potrzebował powietrza i przestrzeni, wielkiego celu i śmiałych czynów; jam musiał żyć pełnią życia; ślimacze pełzanie; zabiłoby moje ciało i duszę tak, jak zabiło ciało i duszę Akiwy.“ (str. 208).

Bodajby więcej było takich Eliaszków, takich

(¹) *Kłosy* r. 1877 i 78.

umysłów zdolnych ich pojmywać i takich piór idealnie stawiających ich przed oczy oświeconej powszechności!

Piękne też rozumnością swoją zdania znajdujemy na str. 209, 210, 213. W zakończeniu, z gorącą wiarą nie rozbitego jeszcze o twardą rzeczywistość rozumu, woła autorka do współwyznawców swoich: „Bracia, ilu nas jest, podajmy sobie ręce, a zmurszała warownia runie bezpowrotnie; wszystkie dzieci naszej ziemi odetchną czystym powietrzem pól oczyszczonych i ciasna sfera rozprzestrzeni się w krąg wielki i świetlany, obejmujący cały obszar interesów kraju i ludzkości!”

Co tu jeszcze dodać na pochwałę przekonań i dążeń duchowych autorki? Te myśli, te sądy, te oczekiwania, te niepokoje—same są dla siebie pochwałą. Nawet to, co by się naciągnięciem wydać mogło, mianowicie pogląd syntetyczny na warunki życia w gminach izraelskich (str. 36—39), jakże jest znaczącym przez nasuwane analogie!

Pod względem czystości języka powieść pani M. wiele do życzenia pozostawia. Styl nie od człowieka, a przynajmniej nie od jego pracy umysłowej zależy; ale to, co się potocznie i w piśmie stylem nazywa, a co właściwie jest tylko *składnią*; ale ogólnie ludzka logiczność; ale stopień polskości w wyrażach, jako polskie występujących—wszystko to już od woli piszącego zależy. Przytoczymy tu kilka przykładów niepoprawności: str. 3 wiersz ostatni: zapukał, zamiast *pukał*; str. 14 wiersz 11 od dołu: gołąbku mój! zamiast *gołąbko moja*; str. 18 i 19 wiersz na obrzędzie weselnym—bardzo słaby, niema ani miary ani rytmu; str. 26 wiersz 6 i 7 od góry: nie należę do ludzi pobożnych, zamiast *do rzędu ludzi...*; str. 27 i inne: bożnica, bóżnica, zam. *bożnica, bożnica*—błąd, który wielu pisarzy popełnia; str. 32: przestał dawać utrzymywania, zamiast *na utrzymanie*; str. 52: z Lissy, zamiast *z Leszna*; str. 59 wiersz 14 i 15: bez mózgu, zamiast *bez rozumu* (nierozumny); str. 61 wiersz 11 od dołu: zdawały się być stosownym materiałem—pomimo używania tej składni przez wielu poważnych pisarzy, widzimy więcej prostoty w wyrażeniu: *wydawały się stosownym...*; str. 105 wiersz 5 od dołu: nie odciągaj ręki, zamiast *nie odciągaj...*; str. 121 wiersz 15 od dołu: jurydykcyja, zamiast *prawodawstwo*,—tu wyraz skutkiem nierozumienia rzeczy źle użyty; str. 129 wiersz 16 od góry: niewłaściwie *publiczność*, na określenie zgromadzenia wiernych w bożnicy; str. 159 wiersz 11: takowe zam. *te*; str. 163: Münster zamiast *tum*; str. 164: Jeżeli jednak oprócz rozpędzenia własnej tęsknoty, szło mu i t. d., zamiast: Jeżeli jednak *chciał* *nie tylko* *własną tęsknotę rozpędzić*, ale jeszcze... i t. d.

Bardzo wiele określników hebrajskich lub niemiecko-żydowskich, odnoszących się do obyczajów i urządzeń publicznych w gminach izraelskich, znajduje czytelnik w książce pani Meyersonowej. Na str. 17 do 22 opisany jest obrzęd ślubu; na str. 79 do 81—obrzęd rozwodu.

S. K.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Czterdziestopięcioletni jubileusz Aloizego Żółkowskiego, w dniu 27 Października r. b. przedstawiona w dniu tym komedia w 4-ach aktach A. Fredry, p. t. „Przyjaciele”. — „Pieszczoszek” pp. Hennequin i Meilhac w 3-ach aktach z francuskiego.

Ulubieniec publiczności warszawskiej, ten, który ma talizman rozpogadzania najsmutniejszych, rozweselania najzgrzybliwszych, ten, który przez czterdzieści pięć lat, czyli przez dwa już pokolenia, podtrzymywał scenę swoim wielkim talentem, sławę jej roznosząc daleko i szeroko, choć sam nigdy za próg rodzinnego swego miasta wyjść nie pragnął,—jednym słowem, nasz rzeczywiste Aloizy Żółkowski, powitany został na przedstawieniu „Przyjaciół” oklaskami i okrzykami, trwającymi minut kilka i powtarzającymi się bezustanku.

Prąd magnetycznych sympatyj i dobrze zasłużonego uznania przelewał się na znakomitego artystę, który, mimo głębokiego wzruszenia, umiał się wnet zeń otrząsnąć i grać, z całym potężnym swym i nigdy niespożyтым, humorem, „Smakosza”.

Komedia „Przyjaciele” grana już tu była w roku 1828, wznowiono ją przed dziesięć laty z wielkim, a raczej, żadnym powodzeniem. I wtedy, tak jak dzisiaj, zatrzymywał przy niej jedynie Żółkowski. Inaczej być nie może, gdyż sztuka ta, która, o ile nam wiadomo, należy do początkowych utworów Fredry, słabą jest istotnie z wielorakich względów.

Przedewszystkiem brak jej wszelkiej a wszelkiej intrygi, co znowu służy za dowód, że i tak wielki talent jak Fredry, nie przychodzi na świat gotowy, ale ulega przetworzeniom, zmianom i rozwojowi; boć przecie we wszystkich innych jego komediach pierwszego wielkiego okresu, intryga rozsnuwa się u niego z żywością niezwykłą, ze zręcznością pełną oryginalnych pomysłów i takich zwrotów, którymi każdy francuzki autor mógł pozazdrościć. Przypomnijmy sobie jedno tylko choćby „Dożywocie”, jak tam z niezgo prawie, z drobnego faktu snuje się nic zaciekawiająca wydarzeń i wypadków, trzymających ciągle w ciekawości a nieodbiegających nie a nie od głównej treści.

Całą zaś intrygą w „Przyjaciółkach” jest to, że Zofia nie wierzy, a raczej dowiedzieć się nie może, iż ją kocha Zdzisław, Zdzisław zaś,—że go kocha Zofia. Przyznać trzeba, że tak słaba pobudka wystarczyć nie może na zajęcie uwagi przez aktów cztery, a zajęcia nie roznieci bynajmniej tak nieprawdopodobne mniemanie tych i owych, a zwłaszcza Zofii, iż Zdzisław kocha się w brzydkiej, śmiesznej, starej pannie Bobiné.

To przyczyna jedna. Drugą, są miłosne, nie poetyczne, lecz owszem zbyt reflexyjne gruchania Zdzisława i Czesława, ich ciągłe wzajemne zwierzenia się, które zajmują sporo scen we wszystkich aktach.

Wreszcie tło całe, to jest konkury barona Antenackiego, Wtorkiewicza, Zdzisława i Czesława o rękę pięknej wdówki, jakkolwiek niepozabawione pięknego uroku staroświeczyny, jednak w dzisiejszych stosunkach towarzyskich wydają się cokolwiek dziwnymi.

Lecz za to, co u Fredry jest zawsze tak skończonym prawdziwym i pięknym, to jest charakter—i tutaj niepominięte bynajmniej, owszem, kilka uderza dosadnością, komizmem i życiem.

Przedewszystkiem typ starego sługi Krupkowskiego, jakież miły, szczery, i na owe czasy jeszcze możliwy, bo dziś służyć już tylko mogący jak poszanowania godna relikwia! Staruszek ten, co znał się prawdopodobnie i z szablą, a potem osiadł przy pańskim dworze, służąc ucziwie i pobożnie, piastując dzieci swych chlebobawców, strzegąc ich mienia, kochając ich jak swą rodzinę, martwiąc się ich troskami, ciesząc się radością, przemawia tak naturalnie, tak serdecznie i rzewnie, zrzedzi tak po ojcowsku i z taką prostotą, co chwyta za serce, że śmiało go nazwać można prototypem wszystkich starych sług, w naszych późniejszych komediach a nawet powieściach.

Takiego starego sługę miał z pewnością sam autor, może na wojence ze sobą, gdy jeździł przy sztacie Napoleona, a potem w domu przy kominku, gdy rozpamiętywał radości i bóle.

Weale wykwiłtnie nakreślony jest baron Antenacki, typ dziś już całkowicie wygasły, jeden z owych rezydentów istotnie arystokratycznego pochodzenia, który, niemając żyć z czego, pożyłcza pieniądze, ale tylko od takich, o których wie, że nim dla tego nie wzgardzą. Ma on bowiem swoją dumę, dumę godności osobistej, a przy tej dumie i przy swem baronostwie, mógł się jeszcze w owe czasy po dworach pańskich i szlacheckich, jakotako przeżywać i nikt nie fuknął na niego: przez próżniaku! Dziś zginąłby z głodu i z poniewierki. *Tempora mutantur!* Domieszka pretensyj do ręki Zofii nie jest zbyt komiczna, ale przyczynia się do rozweselenia kilku scen, zwłaszcza z rywalem Wtorkiewiczem. Ten był tak samo wówczas nowym typem, a i dziś jest o tyle nowym, że wiarę swą w moc złota, w jego urok nieunikniony, wyznaje jawnie i brutalnie; że wszystko, co się da, kupuje otwarcie. Dzisiejszy dorobkiewicz, w głębi duszy ma to samo przekonanie, ale formy wyrobił sobie już inne, gładkie, na pozór pańskie i bezinteresowne. Dzisiejszy rzuci garścią złota na cele dobroczynne, jako na cele reklamy, wie także, że dużo ludzkich sumień (kupi się za grosz gotowy,

lecz, dając nawet ten grosz, udaje, że się tego nie domysła. Wtorkiewicz wszakże za to komiczniej i oryginalniej wygląda na scenie.

Smakosz nawet, choć się nam dziś wydać może nieprawdopodobnym, przecież bawi nas swoją szczerością smakoszwostwa, bo widzimy, że zresztą człek to dobry i zaopatrzony w filozofią *sui generis*, którą doskonale streszcza w tych naprzykład charakterystycznych i bardzo dowcipnych słowach:

„Bardzo pięknie, zaszczytnie i chlubnie bez [miary,
Że jeden diad bił Turki a drugi Tatary,
Że bezzębnych prababek poczet niezliczony,
Które wszystkie dźwigały królewskie ogony,
Ale ja tym zaszczytom bijąc kornem czołem,
Kiedy mam zdrow żołądek, nie dbam zkąd go [wziąłem”.

He tu trafnej ironii na tych, którzy odziedziczywszy herb i, nie poczuwając się już do żadnych obowiązków, wynoszą się nad innych, śmieszują i nędną pychą!

I panna Bobiné przypomina dobrze owe Francuzice, które przed laty kilkadziesiąt najeżdżały kraj nasz jak szarańcze, wyzyskując go, a zawsze skarżąc się, że w tej Polsce taki nieład—i choć starzały się tu na tłustym chlebie i umierały spokojnie, przecież nigdy ani nie poczuły się do wdzięczności, ani też języka polskiego wyczyć się nie chciały.

Inne postacie, jak: Zdzisława, Czesława, a nawet Zofii, chybiające są całkowicie. Zdzisław jęczy i wzdycha, a sam nie wie o co i dlaczego; Czesław pomaga mu potrosze; Zofia zaś, nie wiemy czy jest tęskną i sentymentalną, czy praktyczną, czy wesołą i trzpiotową. Wszystkiego w niej potrosze, czyli, że niema w niej żywiołów determinujących charakter—wcale.

Nie więc też dziwnego, że panna Derynżanka, grająca Zofię, mimo doskonałej gry, nie zdołała wyrazić roli swej zarysować. Nie dałoby jej rady, największe choćby wysilenie. Pan Prażmowski zaś robił, co mógł, jako Czesław, w pogoni za prawdą; muiej daleko robił p. Kotarbiński jako Zdzisław, sentymentalizując, rozwlekając i tragikując do unudzenia i tak już ekliw swą rolę.

Rozkosz prawdziwą mieliśmy ze Smakosza, którego Żółkowski porwał w swoje szpony. Wyszedł on z nich tak naturalny, żeśmy sobie przypominali różnych znajomych; opowiadał tak plastycznie o pieczeni, którą zjadł na popasie, że widzowie z największym apetytem byłiby się zaraz wzięli do jedzenia; przytem zaś był tak lubym, miłym a nieszkodliwym, opowiadania swoje okraszał uśmiechem tak dobrodusznym i przyjemnie ku wszystkim ludziom skierowanym, że mimowoli przychodziło na myśl: Niechby się rodziły tacy Smakosze na kamieniu zamiast tych słodkich obłudników, którzy, prawicie o wielkich poświęceniach, każdym czynem i słowem, wyrządzają krzywdę swym bliźnim.

Doskonałym również był pan Ostrowski jako Wtorkiewicz. Z zamaszystą werwą, z pewnością swojej siły opartej na złocie, palił argumenta na prawo i lewo.

Pan Rapacki zaś jako Antenacki gdyby nie chciał być zbyt dystygnowanym, byłibyśmy go lepiej słyszeli. Dystyngkeya niekoniecznie zależy na cędzeniu słów półgębkiem. Gdyby nie to, rola pojęta była weale trafnie.

Pani Ostrowska wreszcie, jako Bobiné, grała żywo i komicznie,—wymowę zepsutą polską przybierała trafnie, czasami wszakże wychodziła z tonu.

* * *

Dawniej już trochę przedstawiony na scenie Rozmaitości „Pieszczoszek” należy do tych utworów najnowszej muzy czysto-paryskiej, na którą surowi moralisci dużo wygadywać lubią, która najsurowszym dyktuje srogie wyroki potępienia, lecz która ostatecznie bawi i rozśmiesza wszystkich bez wyjątku.

Jestto sobie poprostu głupstewko, często rzeczywicie zanadto ryzykowne, jak zwykle, gdy francuzki autor ma do czynienia z mężem i żoną, ale swoją drogą, ożywione sytuacjami nader scenicznymi, pomysłaniami niezmiernie zręcznie i dowcipnie i zmuszającymi do śmiechu.

W akcie drugim, na przykład, zawikłanie dochodzi do takiego stopnia, że staje już na progu niemal wyższej komiczności.

Ten „Pieszczoszek“, w którego niepokalaną wierzby mama i papa, a który jest hultajem wesołym w całym znaczeniu tego słowa, znalazłby się i u nas w niejednej rodzinie, tylko, że u nas pieszczoski tego rodzaju kończą tragiczniej, gdy we Francji, wyszumiawszy prędko, biorą się do pracy i dokupują się renty na stare lata.

A ów kuzynek, przybyły z prowincyi z żoną, jaki wesoły typ człowieka, co przyjeżdża sobie pohulać, ale pod pozorami zawsze najpoważniejszych, na przykład zebrań się posiedzeń Towarzystwa eksploatacyi guana.

Mnóstwo nieprawdopodobieństw, karykaturalnych sytuacji, np. śpiewanie kodexu na nutę pani Angot, są mimo to tak barwne, taką przenikniętą werwą, że nikt ani ich możliwości, ani moralnego znaczenia, dobadywać się nie powinien.

Inna za to rzecz: czy nasz teatr *jedyny*, tem sam, w którym grają Szekspira, Szyllera, i dramat i komedye poważną, ma jeszcze miejsce i czas na te drobiazgi? Lecz że się takimi farsami moralność ogółu nie psuje, z pewnością jednak psuje się sofizmatami subtelności Dumasa syna i jemu podobnych, zdaje się, dowodzić nam nie potrzeba.

„Pieszczoszek“ grany był w całości bardzo dobrze, przez pana Ostrowskiego (owego kuzyna ze wsi) znakomicie, tak samo jak i przez p. Rapackiego i przez pana Szymanowskiego. Wszyscy trzej dopasowali się tak, jakgdyby wyłącznie grywali tylko farsy francuskie. Wymowny to dowód rozmaitości ich talentów. P. Prażmowski też, powiedzieć trzeba, od niejakiego czasu ożywiać się porczya i poprawiać. Daj Boże, ażeby z tej drogi *naturalności*, na którą wchodzić zaczyna, nie zeszedł już nigdy!

Edward Lubowski.

ROCH MUZYCZNY.

Nowe nuty i książki muzyczne.

1) Sonata na for. i skrzypce, Dresslera. — 2) Arabesque—Un moment de tristesse.—Ostatni wianek (śpiew), Em. Kania. — 3) Sama jedna (śpiew), W. Troszla. — 4) Spełnione marzenie (śpiew), K. Kratzera. — 5) Śpiewy Wieńca: Śpiesz, — Gdybym się zmienił, — O mój aniele, — Róża, — Chanson d'Exil, — Pieszczotko. — 6) Śpiewy wydane nakładem Towarzystwa Muzycznego — 7) Nowe utwory Żeleńskiego. — 8) Sześć nowo-wydanych śpiewów Monuski. — 9) Krakowiaki Noskowskiego. — 10) M. Moszkowski. — 11) Śpiewy obce, u nas wydane. — 12) Kłosy z rodzinnej niwy; duety na fort i skrzypce (łatwe) Adolfsa (Sonnenfelda). — 13, Klejnoty muzyczne (przez tegoż). — 14) Głos, ucho i muzyka Langela w przekładzie polskim. — 15) Das Pedal des Claviers, Hansa Schmidta. — 16) Elementarna teoria muzyki Artura Pietschmanna. — 17) Musikalische Gymnastik, Lessera. — 18) Le Piano à doubles claviers renversés, Zarębskiego. — 19) Musicians, Weckerlina (tłumaczenie Sowińskiego). — 20) Studya dla śpiewania odległości muzycznych, Karola Studzińskiego. — 21) Nauka harmonii Żeleńskiego i Roguskiego.

(Dokończenie, ob. Nr 43).

XIX. *Musiciens*. Zbiór anegdot i rozmaitości muzycznych, p. J. B. Weckerlina; tłumaczył Albert Sowiński. Paryż 1878.

Zacna i pocziwa chęć, sumienna i wytrwała praca, niezawsze jednak wystarczają, „aby napisać książkę, któraby mogła prawdziwy przynieść pożytek ogółowi i godną była zająć miejsce w każdej bibliotece. Szczególniej gdzie idzie o dostarczenie materyałów do historyi, bardzo surowa krytyka tychże potrzebną jest ze strony autora, aby umiał odróżnić plewę od ziarna, i nie wypuszczał w świat materyału, którego autentyczność jest podejrzana, lub wartość zbyt mała dla czytelnika. Oddając hołd niezmordowanej pracy sędziwego p. Alberta Sowińskiego, nie możemy nie dostrzedz, że w swoim *Słowniku muzycznym* zgrzeszył on właśnie zbyt pobłażliwym przyjmowaniem źródeł, przez co do książki mnóstwo się wcisnęło szczegółów nieuzasadnionych lub fałszywych; książka, o której teraz

piszemy, temże samem grzeszy. A jednak szanowny autor, niepisząc dzieła oryginalnego, ale tylko tłumaczenie, miał pole do poczynienia stosownych skrótów i uwag prostujących błędy.

Musiciens, jest to rodzaj *Silva rerum*, książki notatkowej, w której p. Weckerlin zapisywał co natknął, a prawdopodobnie zapisywał nie od dzisiaj, są tam bowiem obok istotnie ciekawych wyjątków i szczegóły o młodzieńczej prawie świadczące naiwności. W skrzynce tej obok drogocennej perły znajdujemy i rupiecie, a najbardziej razi ta doraźność i brak związku w notatkach.

Pod tytułem: „początek, definicya i estetyka (!)“ w rozdziale 1-m mamy ze staroświeckich dzieł parę dość oryginalnych wyjątków, określających pojęcia o początku mowy muzycznej i o jej znaczeniu. W ślad za tem idą—niewiedomo dla czego?—wypisy z dziełka Fétisa: *La musique mise à la portée de tout le monde*, których bezużyteczność dla czytelnika bije w oczy. Nie mam w tej chwili u siebie książki Fétisa, sądzę jednak, że i cytacye nie muszą być dokładne, gdyż między innemi czytamy:

„Ton najniższy jest dopiero zrozumiały około 64 wibracji na sekundę“. A w odsyłacz: „Ton najniższy w organach na sekundę ma 33 (zapewne 32) wibracji“. Tymczasem i to jest niedokładne, najniższy bowiem ton ma 16 wibracji.

A dalej: „Niewiadomo z kąd pochodzi *trio* w menuetach i walcach (!)“

Rozdział drugi zawiera *ciekawe tytuły i dedykacye*; rozdział czwarty pod tyt. *Bibliografia i rozmaitości* zawiera parę szczegółów ciekawych o koncertach historycznych Fétisa, a wnet zatem idzie szczegół, conajmniej oryginalny, oto: *adresa niektórych muzyków mieszkających w Paryżu w r. 1822*.

Jeżeli już mamy adresu, to dlaczego nie z innych lat również? Pomijam dalsze szczegóły tych *rozmaitości*, nader dziwaczne. W rozdziale pod tyt. *Instrumenta muzyczne* znajdujemy znów rzeczy ciekawe i niezłe. *Anegdoty biograficzne*, zawierają rzeczy dobre; nader cenne, na przykład, jest opisanie zgonu Aubera, któremu autor (p. Weckerlin) osobiście był przytomny. Ale nie mogę się powstrzymać od przytoczenia anegdoty „biograficznej“ następującej:

Ojciec Kircher.

(?)

„Uczony ten podróżował wiele jako misyonarz, i pisze w swoich pamiętnikach, że wracając z Goa do Europy, stanął nad rzeką Indus, blisko wielkiego bagna, zarosłego trzciną. Z którego (sic) wylał ogromny krokodyl i chciał go pożreć, lecz w tem momencie spostrzegł z drugiej strony tygrysa, którego także czekał na niego. Ten biedny ojciec widząc się między młotem a kowadłem, polecił swą duszę Panu Bogu! Gdy w tem momencie tygrys, skoczywszy raptem, wpadł w gardło krokodyla, którego kontent z takiej zdobyczy, dał czas misyonarzowi do uniknięcia pewnej śmierci“.

... Czytelnik mi może nie wierzy; dla dokładności więc przytaczam, że anegdota ta *muzycznobiograficzna*, znajduje się na str. 128!

Skracam dalsze cytaty. Od niektórych nie mogę jednak odstąpić.

Lully, muzyk francuski, śmiertelnie był chory. Spowiednik rozkazał mu, dla zbawienia duszy, wyrzucić marność świata i *spalić* rękopism o ostatniej napisanej opery. Gdy kompozytor tego dokonał, nadziedzł właśnie książkę Lotaryngii. „Ożeś uczynił?“ woła, barbarzyńco! „Bądź spokojnym mości książko“ odparł twórca, *zachowałem sobie drugą kopię!* Wyborna anegdota!

Na str. 143 mamy parę szczegółów o Mozarcie—dobrych, ale można je wyczytać w innych biografjach, dość powszechnie znanych.

Na str. 198 p. Weckerlin przytacza, że w dziełku *Musicalische Studien* Tapperta, wydanem w Berlinie w 1868 r., autor stanowczo utrzymuje jakoby temat Marsylianki został *ukradziony* Prusakom, i że prawdziwym jego autorem jest niejaki Holtzbauer.

Zaraz obok tej zajmującej notatki spotykamy całą stronicę, wypisaną z dzieła jakiegoś pana Bechtsteina, w której tenże w najśmieszniejszy sposób stara się słowami naśladować śpiew słowika:

Koutiou, Koutiou, (tłomacz zachował tu widocznie ortografię francuską p. Weckerlina), tskouno, tskouno,—tsii, tsii, tsii—*pipitskounisz* (?) tsirrhadinng, dlo, dlo, dlo, dlo, kouioo trrrrrrrtzt... i t. p. i t. p.

Skończmy. Widać że p. Weckerlin dużo czytał, ale mało z czytania korzystał. Szkoda pracy na przekład tego dziełka, sumiennie i w najlepszej chęci podjętej!

XX. *Studya odnoszące się do sposobów śpiewania odległości muzycznych*, przez Karola Studzińskiego. Warszawa (1878). Nakładem autora.—Broszurka to bardzo pożyteczna, studya, jakie podaje, są łatwe i praktycznie ułożone; zresztą można w tym względzie śmiało zaufać panu Studzińskiemu, który od dawna już prowadzi naukę śpiewu chóralnego w konserwatorium, a prowadzi ją wybornie. Jedną tylko rzecz nas dziwi: dlaczego dziełka teoretyczne pana Studzińskiego, jednego z profesorów konserwatorium, największem cieszącym się uznaniem, dziełka zresztą *przyjęte* przez Instytut muzyczny dla nauki, autor zmuszony jest mimo to drukować własnym kosztem?

XXI. *Nauka harmonii oraz pierwszych zasad kompozycji*, przez Wł. Żeleńskiego i p. Roguskiego. Warszawa 1877.

Autorowie, wyliczywszy w przedmowie dzieła muzyczne dotąd istniejące, a traktujące o nauce harmonii, powiadają:

„Z powyższych dzieł, jedne przestarzały się zupełnie, inne grzeszą brakiem systematu, mało—zaś które stoi na wysokości dzisiejszego postępu w muzyce, oraz odpowiada wymaganiom pedagogiki“.

Sąd ten surowy, dość jest, niestety, sprawiedliwym. My więcej powiemy, że nawet cudzoziemskie dzieła o harmonii niewszystkie odznaczają się systematycznością, a żadne niezawodnie zupełnie celowi nie odpowiada; dlatego też do czasu pojawienia się nowych w tym przedmiocie dzieł, lub do czasu nowego wydania niniejszej książki, możemy kurs harmonii pp. Żeleńskiego i Roguskiego uważać *jako najlepszy z dotąd istniejących*. Rozumna systematyczność jest w nim połączona z jasnością i poprawnością stylu: przykłady harmoniczne, podane w ciągu dzieła, są wyborne, a niektóre nawet bardzo piękne; niektóre rozdziały (jak np. o towarzyszeniu gammy), opracowane są znakomicie, a wszędzie, oprócz samej suchej nauki, przebiega cel estetyczny; mamy tu szczególnie na myśli zwracanie częste uwagi ucznia na liczne w harmonii *wyjątki*, stanowiące właśnie tak często podstawę piękności estetycznej. Być może tylko, że byłoby pożyteczniej dla samej nauki cokolwiek mniej robić nacisku na wyjątki w ciągu dzieła, a dopiero zwrócić na niektóre z nich wtenczas uwagę, kiedy uczeń już przyzwyczajonym będzie do pisania poprawnie w bardziej surowym stylu. Zresztą, dzieło całe, jak sami autorowie przyznają w przedmowie, może być ulepszone, a z tego względu niech i nam wolno będzie poczynić niektóre uwagi.

W § 1 znajdujemy określenie, że „koloryt, jaki tonika nadaje całemu ustępowi muzycznemu, nazywamy *tonacją*“. Określenie to, dla wtajemniczonych tylko zrozumiałe, niedość jest jasnem, aby je mógł zrozumieć uczeń nieznający jeszcze głównych podstaw harmonii. Lepiej to określenie odłożyć na później (np. przy nauce o kadencjach i modulacji) i wtenczas można będzie uczniowi powiedzieć, że „*tonalnością* albo *tonacją*“ nazywamy na przykład szereg dźwięków lub akkordów *wyrażających stosunki należące do jednej gammy*“.

Podobnie w § 2, określenie samej gammy nie jest dobre. Autorowie piszą: „Szereg dźwięków *rozpoczynający się od toniki* nazywamy *skalą muzyczną*, czyli *gammą*“. Widocznem jest przecież, że *szereg dźwięków rozpoczynających się od toniki* może zupełnie *gammą* nie być; czyż nie dokładniejsze takie np. orzeczenie?

„Gamma jest to melodia, składająca się z szeregu dźwięków, idących po sobie *kolejno* (stopniami, *stufenweise*), w pewnym oznaczonym porządku“. Dwa wyrażenia podkreślone są tu, zdaniem mojem, konieczne; pierwsze dla oznaczenia, że po *c* następuje *d* i t. d. drugie dla oznaczenia, że porządek bywa dwojaki, *dur* lub *moll*.

Wogóle wstęp ten o gammach jest *za krótki*.

Na str. 8 niedokładnym jest określenie, że każdy dyssonans *musi* być poprzedzony konsonansem, bo to jest właśnie najgłówniejszym charakterem dyssonansu *septymy dominanty*, że może być uderzaną bez przygotowania; a w dalszym ciągu dzieła autorowie, idąc za Wagnerem, pozwalają także na uderzanie bez przygotowania akkordów naprzykład o zwiększonej kwincie, która przecież jest dyssonansem.

Str. 15. Wyprowadzanie zbyt filozoficzne podstaw harmonicznych gammy z brzmienia akustycznego przytonów (aliquotów) wydaje mi się zawsze rzeczą cokolwiek naciaganą, i dlatego w *kursie* harmonii zbytętną. Czyż, ściśle biorąc, tak zwana *tryada* muzyczna (akkordy pierwszego, 4 i 5 stopnia gammy) da się wyprowadzić z naturalnych przytonów struny? Nie, bynajmniej. Co najwyżej, akkord c-e-g spotykamy — akkordu g-h-d wcale nie (bo zamiast h jest b), akkordu f, a, c tak samo, a natomiast teoretycy przykład ten podają, zawsze rozmyślnie zapominając o dźwięku b, który przecież jest *naturalnym*, i który chcąc filozoficznie wytłumaczyć, musielibyśmy chyba obalić całą logikę harmonii, dotąd istniejącą, i powiedzieć, że akkord c-e-g-b należy do tonacji C!! Ja sądzę, że lepiej te względy w *kursach* nauki opuszczać, jako nie zresztą nieobjaśniające. Dla ucznia, mającego poczucie muzyczne, będzie obojętnym ztąd te akkordy powstały, gdyż w duszy i bez tego odczuć on potrafi ich zależność od siebie i stosunki, które wyrażają, to jest: *tonalność*.

Rozjaśnienie stosunków gammy minorowej na str. 15 i 16 jest wyborne i interesujące, wszakże § 31 wydaje nam się za wczesnym; fakt ten bowiem że jeden akkord może należeć do kilku różnych tonacji, jak i sama *tonacja*, zrozumiałym być może dopiero, gdy uczeń dobrze zrozumie kadencje i znacznie wkraczać w dziedzinę modulacji.

Na str. 21 należy wyraźnie określić granice skali czterech głosów: sopranu, altu, tenoru i basu.

Str. 26 § 41. Zamiast wyrazów: „Kwinty ukryte przedstawiają się nam łagodniej, jeżeli bas skacze” (1) o kwartę w dół lub o kwintę w górę, agórny czynnik postępuje łącznie (dyatonicznie) powinno być: „że takie kwinty są dozwolone”.

Co do § 48. W innych teoriach zwykle odległość zwiększonej sekundy, między 6-m i 7-m stopniem gammy minorowej, uważana jest, i słusznie, za *zupełnie dozwoloną* w jakimkolwiek głosie.

Nb. Nigdzie nie spotykamy tej uwagi, że *ruch podobny w czterech głosach jednocześnie* jest zabronionym.

§ 53 brzmi: „Główną zasadą łączenia akkordów jest zachowywanie ile możności nuty wspólnej, a w braku jej przechodzenie na najbliższe nuty harmoniczne” etc. Cały ten przytoczony ustęp powinien być bezwarunkowo zamieszczonym wcześnie pod § 40. Podobnie § 57 etc. wolelibyśmy przenieść na str. 26, aby mieć razem zebrane paragrafy o kwintach i oktawach zabronionych. Toż samo § 59, zawierający granice odległości między głosami, koniecznie, nie na końcu rozdziału o prowadzeniu głosów, ale na początku, umieszczony być winien. Tam także wypadałoby koniecznie dodać, że należy unikać *unissona*, oraz *krzyżowania* głosów.

Niepisząc wyłącznie dla czytelników-specjalistów, zmuszony jestem skrócić te cytaty, jak również z żalem opuszczam niektóre miejsca, gdzie autorowie lepiej od innych dzieł rzecz przedstawili. Wogóle, co jest najbardziej godnym uznania, to dokładność, z jaką wszystkie szczegóły do jednego należącego działu, są wyczerpane. Naprzykład, pisząc o modulacjach i kadencjach nie zapominają

autorowie i o harmoniach t. z. *pożyczanych* (majorowe w trybie minorowym i odwrotnie); związek między różnymi akkordami, ich znaczenie w tonacji, zawsze nader starannie są wykazane. Czasem jednak autorowie idą za daleko. Takie paragrafy jak 112, zawierający nader odległe przejścia, tylko mogące być wytłumaczonymi przez enharmonię, powinny być odniesione do końca dzieła. Enharmonia bowiem jest już koroną harmonii, jest najwyższą cegiełką gmachu, łączącą wszystko — jakoż akkordy jakoby septymowe, zamieszczone we wspomnianym ustępie, częstokroć są niemi tylko pozornie i należą do innych zupełnie, znacznie późniejszych, działów harmonii.

W teorii akkordu nonowego, radziłbym zastosować znakomite jego objaśnienie przez Fétisa (*Traité d'harmonie* str. 47 i dal.), na mocy którego łatwo zrozumieć, dlaczego w przewrotach nona nie może nigdy zejść niżej tereyi. Byłoby to dla ucznia nierównie pożądanym od aforystycznego oznaczenia, że takie przewroty są *nieużywane* (patrz ostatni akkord na str. 73 kursu).

Na str. 173. Przykład 1-szy jest, moim zdaniem, harmonicznym *horrendum*; tego rodzaju śmiałości, *choćby i były usprawiedliwione*, to w zdrowej i systematycznej nauce opuszczone być winny. Można przy końcu kursu pozwolić na ich użycie; lecz i w tym razie przykład wyżej przytoczony nie dałby się chyba wytłumaczyć.

Podobnem *horrendum*, według mnie, byłoby przyjęcie w harmonii akkordów undecymowych i terdecymowych, które autorowie podają, zapewne według teorii Rameau. Żadne ucho nie mogłoby podobnego nagromadzenia terey wytrzymać, gdyby takie akkordy *jako niezależne zgodno-dźwięki* istnieć mogły. *Ale tak nie jest!* i autorowie kursu zanadto są dobrzy muzykami, aby tego nie czuli, jakoż w § 145 powiadają:

„W harmonii naturalnej powyższe akkordy *występują tylko w postaci septymowych lub nonowych dominantowych, opartych na tonice*”. A dalej: „pospolicie nazywają je *akkordami dominantowymi na tonice*”. Bardzo słusznie! A więc pocóż tworzyć nazwy idealne jakichś akkordów nieistniejących, wypisywać ponad sobą aż 7 terey, skoro ta kombinacja *nigdy się nie używa*? Czyż nie prościej powiedzieć, że akkordy dominantowe, septymowy i nonowy, mogą być użyte *na tonice*? W *Traité d'Harmonie*, Bazin'a słusznie bardzo są one nazwane: „Accords de 7-me dom. sur tonique, de 9-me sur tonique”.

Użycie owych siedmiu terey naraz mogłoby chyba być usprawiedliwione wtedy, gdybyśmy niektóre z nich mogli uważać jako appoggiatury lub opóźnienia (1); znamy istotnie w literaturze muzycznej przykład takiego akkordu (chwilowo użytego), w którym jednocześnie brzmią wszystkie siedm tonów gammy *c dur*. Jestto jeden mazurek Dulckena; w bassie jest c g d, a ręka prawa przelatuje arpeggio po tonach h f a e; rozwiązanie, rozumie się, dają akkordy następujące. Pamiętam wyborne, z jakim komicznym tryumfem wesoły autor tej kompozycji chlubił się tym, istotnie dowcipnym, pomysłem.

W dalszym ciągu kursu pp. Żeleńskiego i Roguskiego ustają prawie zupełnie nasze zarzuty. I nie dziw: ta wstępna część harmonii (jak wogóle w każdej nauce) jest najtrudniejszą. Najciężej tutaj obmyślić plan, w którymby nie było opuszczone, nie nie przychodziło zawczasem lub zapóźno. Szanowny krytyk, który to pisze, pewnoby także nie zrobił tego planu bez błędu, jakkolwiek jeszcze przed wydaniem obecnie rozbieranego dzieła, te

same początki sobie opracował. Im akkordy stają się bardziej skomplikowanymi, a zatem rozlicznym potrzebom estetycznym bardziej odpowiadającymi, tem kurs rozwija się piękniej, przykłady są bogate i szlachetniej pomyslane. Septymy poboczne, opóźnienia i alteracje przedstawiają studium wyborne. Opóźnienia z dołu, dawniej w harmonii nietolerowane, podane tu zostały zapewne podług Richtera i Weitzmanna, ale wogóle są one mniej piękne; szczególnie opóźnienia o cały ton w górę idące należałoby wskazać uczniowi jako harmonie puste i niewiele mówiące.

Rozdziały o figuracji, o akkompaniamencie w stylu wolnym, jak i cała część trzecia dzieła, wkraczają już w dziedzinę kompozycji: jakoż harmonia wyższa (część druga dzieła) jest już w pewnym stopniu komponowaniem, potrzebuje w uczeniu rozwiniętego smaku, pomysłowości i t. d. Rozdziały zaś końcowe uważamy jako przejście do dalszych prac o wyższej kompozycji, które autorowie w przedmowie zapowiadają, a których wyczekujemy z niecierpliwością.

W rozdziale o figuracjach nie zgadzamy się na możliwość kwint wskazanych w przykładzie 312-m. Brzmi to zawsze brzydko.

Rozdział o harmonizowaniu gammy jest znakomicie opracowany, jak nigdzie; jest to prześliczne studium, z którego każdy muzyk skorzystać może i powinien. Sądzę, że we wstępie możnaby tu dodać niektóre uwagi, zawarte w *Traité d'Harmonie* Fétisa, w rozdziale IV-m.

Dział o modulacjach w harmonii wyższej zawiera przykłady prześliczne — w tych, co są oryginalne (nie brane z innych dzieł) domyślamy się nieraz twórczej zdolności pana Żeleńskiego. Dział IX-ty zastanawiający się nad wyjątkami, mianowicie nad pięknościami, wynikającymi z użycia nieraz umyślnego *kwint równoległych* lub *ukośnego brzmienia półtonu*, należałoby znacznie, znacznie rozszerzyć. Podobnie jak na zakończenie harmonii niższej dałbym osobny rozdział o enharmonii i jej pięknościach, tak tu do działu IX-go odniósłbym wiele przykładów śmiałych, w ciągu kursu mniej potrzebnie przytoczonych, i ze stanowiska estetycznego chciałbym go widzieć opracowanym w obszerniejszych nierównie rozmiarach.

Oto jest sumienne zdanie me o nowem dziele. Streszczając je, powtórzę raz jeszcze, że dzieło zasługuje na największe rozpowszechnienie, jako najlepsze z dotychczasowych, a nawet jako wogóle wyborne, z pewnemi tylko zastrzeżeniami. Zastrzeżenia te, jakie ośmieliłem się uczynić, odnoszą się głównie do szczegółów, a nawet trochę i do ogólnego planu pierwszej części, oraz do tej uwagi, że zbyt częste przytaczanie, zwłaszcza bardzo śmiałych wyjątków, może źle wpływać na ucznia, gdy przeciwnie, dawszy mu spokojne i zdrowe podstawy harmonii, można go później z *większym nawet niż w rozdziale IX-m* rozszerzeniem obznajomić z kombinacjami wyjątkowymi, i tym sposobem spotęgować w nim poczucie estetyczne, co widocznie w szlachetnej dążności autorów leżało.

P. S. Na str. 27, w przykładzie 70-m, takcie 3 i 4, — oraz na str. 165, w przykładzie 332, takcie 2 i 3, znajdujemy niewymienione w *Erratach* omyłki druku, które w następnym wydaniu sprostować należy.

Jan Kleczyński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tytułem: *Kłamecy*.

(1) Wolałbym: *idzie*.

(1) Przykłady 257, b, c, na str. 127 kursu, najwymowniej właśnie wskazują, że mniemane te akkordy terdecymowe są tylko opóźnieniami.

TREŚĆ. Dwa anioły, poezja, przez El...y. — Krasicki i Kraszewski, (dokończenie), przez Hipolita Skimborowicza. — Nauka i wychowanie dziewcząt, II. (dalszy ciąg), przez Maryę Ilnicką. — Meleszkowie, powieść, (dalszy ciąg), przez Zbigniewa. — Przegląd piśmienniczy, przez S. K. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Ruch muzyczny, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego.